

RUSALKI,
LICHY, KIKIMORY

MARTA KRAJEWSKA

RUSAŁKI, LICHY, KIKIMORY

i inne słowiańskie strachy w opowieściach

ilustracje Alicja Filiacz

KROPKA

SPIS TREŚCI

Dziady. Karaboszka.....	7
Chmurnicy. Deszcz rozpaczy	35
Kikimora. Uczeń kikimory	63
Licho. Niech to lichu.....	89
Kłobuk. Czarnoskrzydły	115
Wodnik. Życzenie	145
Rusałka. Niepamięć	177
Południca. Rdzawy sierp	207
Słowniczek	237



KARABOSZKA

Janomir! – Wściekle wołanie przeleciało przez wieś. – Janek!
Gdzieżeś jest, nicponiu?!

Chłodny jesienny wiatr poniósł męski głos daleko poza obręb otoczonego wiklinowym płotem podwórza, między kryte strzechą chaty. Przestraszone krzykiem ptactwo rozgdakało się i rozpierzchło, w oddali zaszczekał zbudzony hałasem pies. Październikowe słońce wyjrzało zza chmury, jakby również chciało zerknąć, co wywołało poruszenie w ukrytej wśród rudych, jesiennych lasów wsi.

Janek usłyszał swoje imię, przyłożył oko do szpary w wiklinowym płocie i dostrzegł ojca. Rodzic stał na wysokim progu chaty i nerwowo skubał wąsa, co oznaczało, że był naprawdę zły. Obok, zasłaniając dłonią pół obolałej twarzy, czekała mieszkająca w sąsiedniej chacie ciotka Tolikowa, drobniejsza i młodsza od ojca, ale podobnie jak on zagniewana.

Janek nie bardzo miał ochotę wychodzić z ukrycia, tym bardziej że właśnie przykrył głęboką kałużę konstrukcją z cienkich patyków i zamierzał jeszcze przysypać ją jesiennymi liśćmi, a potem czekać, aż któryś z sąsiadów wpadnie w pułapkę i zmoczy sobie stopy. Zwlekał, tęsknie przerzucając spojrzenie bystrych jasnych oczu z rodzica na kałużę.

– Janomir! – ryknął ojciec. – Chodź tu, ty utrapienie!

Chłopak podrapał się po blond czuprynie. Ojciec już drugi raz zawołał go pełnym imieniem, czyli zapowiadała się solidna pogadanka. Przez krótką chwilę chłopca kusiło, żeby udać, że nie słyszy, i pojawić się w chacie dopiero, gdy będzie się ściemniać, w nadziei że do tego czasu rodzicielski słuszny gniew zdąży już wygasnąć. Poprzednio tak właśnie zrobił i całkiem dobrze na tym wyszedł, ale tamtym razem zła była matula, nie ojciec. Tato potrafił się złościć znacznie bardziej zapamiętałe niż mama o złotym sercu.

Podjął decyzję i wychylił głowę ponad płot.

– Co tam, tatku? – zawołał tak słodko i niewinnie, że aż fałszywie. – Witajcie, ciotko!

– Ja ci dam, ty skaranie boskie! – wrzasnęła kobieta, więc Janek uznał, że odpowiednią reakcją będzie udanie absolutnego zaskoczenia.

– Chodź tu! – Ojciec przywołał go ruchem ręki.

Janek posłusznie okrążył płot, wszedł na podwórze i zbliżył się do dorosłych, ani na moment nie zapominając, by wyglądać jak uosobienie niewinności i chłopięcego uroku.

– Znowu zrobiłeś pułapkę z gałęzi? Ciotka Tolikowa dostała w twarz! Zobacz, jaką ma śliwę pod okiem! Przeprós natychmiast!

– Ale... – wydukał Janek – To nie ja!

Ojciec w kilku zamaszystych krokach dopadł do chłopaka i złapał go za ucho.

– Jeszcze się będziesz wykręcał? Jak ci zaraz skórę przetrzępię, to wreszcie zmądrzejesz!

– Ała, ała! – jęczał Janek. – Kiedy to naprawdę nie ja!

Oczywiście nie uwierzyli mu, bo chłopak był łobuzem co się zowie i wiedzieli o tym i ojciec, i ciotka, i cała wieś, a nawet sam Janek. Jedyne, czego chłopak nie był pewien, to w którą z zastawionych przez niego w okolicy pułapek wpakowała się ciotka.

Tolikowa lubiła bratanka swojego męża, więc słysząc płaczliwe jęki chłopaka, ulitowała się nad nim i chwyciła szwagra za ramię.

– Oj, dobrze już, dość! Puść młodego, Chodek! Przecie mi oka nie wybiło, dzień, dwa i skłębnie. No, puść go, puść.

Ojciec fuknął coś pod wąsem i uwolnił Jankowe ucho od bolesnego ucisku.

– O, dzięki ci, cioteczko... – sapnął chłopak i mimo pulsującego bólu skłonił się kobiecie w pas. – Licho leśne musiało tę pułapkę zrobić! Ja bym przecie nigdy...

– No już nie bredź mi tu o lichu, bo jak cię...! – Ojciec pogroził mu palcem przed nosem i Janek ucichł jak mysz pod progiem. – Byś się choć raz przyznał, ty nicponiu! Co my z tobą

z mamy, łobuzie! Kiedy ty wreszcie dorośniesz? Dwanaście wiosen na karku, a w głowie pusto, że wiatr hula od ucha do ucha!

Byłby tak długo łąał syna, a Janek słuchałby go potulnie, spuściwszy wzrok i czekając końca, ale ciotka uznała najwyraźniej, że jej krzywdą została dostatecznie uszanowana.

– Chodek, to może zrobmy tak – wtrąciła do szwagra, biorąc się pod boki. – Ja sobie chłopaka wezmę do pomocy i będziemy kwita, co? Gałąź mnie strzeliła w oko, jakem do lasu szła z chrustem robić, to może niech młody pracę za mnie wykona, a ja se okład na oku położę i odpocznę chwilę.

Mężczyzna podrapał się w czuprynę i ochłonawszy nieco z gniewu, zgodził się skinieniem głowy.

Jankowi przemknęło przez myśl, żeby znowu spróbować dowieść swojej niewinności i wykpić się od dodatkowej roboty, ale jedno spojrzenie w surowe oczy ojca sprawiło, że zaniechał tego pomysłu. Tęsknie myśląc o pozostawionej za płotem niedokończonej pułapce, bez słowa sprzeciwu ruszył za ciotką.

– Zostawiłam płachtę na rozstajach – rzuciła kobieta przez ramię i poprowadziła chłopaka w jesienny las.

Milczeli, lecz otaczały ich dźwięki. Liście szeleściły pod stopami, ptaki skrzeczały w wysokich koronach drzew, gałęzie stukwały upiornie, poruszane smętnym wiatrem, skrzypiały stare pnie, a tu i tam rozbrzmiewały kroki i ciche głosy.

Las pełen był istot, ale oprócz zajęcy i saren były wśród nich również takie, których należało unikać, jak wilki, dziki, licha, strzygi i inne. Dlatego dochodzące zewsząd szurania stóp,

pomruki i odległe okrzyki wywoływały dreszcz na plecach Jan-ka. Uspokajał się w myślach, że to tylko ludzie ze wsi łązą między drzewami. A co, jeśli nie?

Zbliżały się Dziady, jesienne święto ku czci przodków, więc wiele osób zbierało w lesie drewno na ogniska. Niektórzy pozdrawiali ciotkę Tolikową, innych Janek i starsza pani widzieli jedynie z daleka. Mira i Bolko, znajomi chłopaka, zobaczyli go i nawet podbiegli, by go zaprosić do wspólnego zbierania chru-
stu, lecz ciotka wytłumaczyła surowym tonem, że wpierv Janek musi odpracować karę. Spuścił smętnie głowę, straszliwie upo-
korzony, a Mira i Bolko pożegnali się grzecznie i odeszli.

Janek lubił las i lubił wzniesienie ognisk na Dziady. Dzięki ciepłu i światłu ognia palonych na cmentarzach w czasie obrzędu duchy odnajdywały drogę do świata żywych i mogły wziąć udział w uczcie na swoją cześć. Mimo że Janek nigdy nie zobaczył du-
cha żadnego z nieżyjących przodków, co roku w czasie święta czuł ich obecność i zawsze wtedy liczył na to, że ujrzy mglistą postać
dziadka albo babki w uciekającym w niebo dymie ognisk.

Dotarli na rozstaje, gdzie trakt wychodzący ze wsi przecinał się z leśnymi drogami.

Na skraju lasu, tuż przy skrzyżowaniu dróg, usypano nie-
wielki stos drobnych gałęzi. Nieopodal, porzucona w pośpiechu,
leżała zmięta płachta do noszenia drewna.

– No – ciotka odezwała się po raz pierwszy, odkąd wyszli ze
wsi. – To ja sobie siądę i przyłożę do oka zimny mech, a ty za-
bieraj się do roboty.

To mówiąc, klapnęła ciężko pod drzewem i rozgarnęła liście w poszukiwaniu odpowiedniej kępy mchu. Jej oko było mocno zaczerwienione i opuchnięte. Od dołu powieka mocno posiniała. Na ten widok Janka zakłuło w sercu coś jakby poczucie winy. Bez słowa podreptał po porzuconą płachtę i zaczął ładować do niej suche patyki, krążąc po lesie. Gdy miał ich już tyle, że trudno było to wszystko unieść, zarzucił sobie płachtę na plecy i wrócił na rozstaje.

Ciotka wciąż siedziała tam, gdzie wcześniej, z głową opartą o pień drzewa i okładem z mchu na twarzy. Nuciała pod nosem niezbyt wesołą niosenke.



– Cioteczko – zagadnął Janek, wysypując zawartość płach-
ty na stos drewna. – Jak będziecie na zimnym siedzieć, to wam
wilk do tyłka wejdzie.

Tolikowa uchyliła zdrowe oko i zerknęła na chłopaka, pry-
chając kpiąco.

– No to się pospiesz, cobym za długo siedzieć nie musiała.

Janko rozmasował ramię, na którym wciąż czuł niedawno
przyniesiony ciężar.

– A... – zaczął niepewnie – ten stos to chyba nie dla wuja cio-
teczka szykujecie? Przecież on jeszcze może wrócić. Prawda?

Kobieta przerwała nucenie, ale nie odpowiedziała mu. Mil-
czała, aż Jankowi zrobiło się niezręcznie.

– A juści, że może – powiedziała wreszcie. – Ale to już pięć
dni, jak z polowania nie wrócił.

– Dopiero pięć! Zresztą przecie z Przylepą był! Gdyby go co
złego spotkało, to choć pies by do wsi wrócił, a Przylepy tako
i nie ma! Musi razem gdzieś łążą.

Zamilkł, bo ciotka odsłoniła mech z twarzy i wyprostowała
się, nachylając ku przodowi.

– Pewnie, pewnie... – wymamrotała. – Nikt bardziej niż ja by
się z ich powrotu nie ucieszył.

– To po co ten stos na rozstajach? Przecież one są dla mar-
twych! Dla tych, co zginęli, a grobu nie mają i straszą.

– Owszem.

– To nie wierzycie, że wuj wróca?

Westchnęła ciężko.

– Wierzę – odparła, ale nie udało jej się oszukać ani samej siebie, ani Janka, więc się zdenerwowała. – Słuchaj, chłopaku, nie twoja to rzecz, żeby mi wyrzuty robić!

Poirytowana machnęła ręką, jakby odganiała natrętnego bąka, i oparła się na powrót o pień drzewa.

– Poza tym jutro Dziady, zaginionym i tym tragicznie zmarłym też trzeba ciepła i światła dać, coby do żyjących nie przychodzili. Wierzę, że twojego wuja wśród nich nie ma, ale jeśli gdzieś sam w dziczy szuka drogi do domu, to chociaż duchy od niego odciągnę. One przyjdą tu, do ognia, a on będzie bezpieczny... tam, gdzie jest.

Uśmiechnęła się krzywo i przymknęła oczy.

– No, śmigaj po więcej gałęzi! Nie będziemy tu do nocy siedzieć.

*

Janek miał ciało młode, giętkie i przyzwyczajone do pracy w gospodarstwie, ale następnego dnia obudził się cały obolały. Od noszenia patyków dokuczały mu ramiona, plecy, uda i nawet pośladki. Z satysfakcją myślał jednak o pięknym, wysokim, szerokim i zwartym stosie gałęzi, który ułożył na rozstajach. A myśleć mógł sobie do woli podczas licznych obowiązków, jakie wyszukiwali dla niego rodzice. Tego dnia przypadało święto Dziadów, trzeba więc było przygotować chatę na odwiedziny przodków, obejście oczyścić tak, żeby się wstydzić przed duchami nie było czego. Trudna to była robota, bo w tym szczególnym dniu nie wolno było używać miotły, coby przypadkiem razem

ze śmieciami nie wymieść dusz przybywających na wieczerzę. Musiał więc Janek każdy listek ręką z ziemi podnieść, a złośliwy wichur wiał ich na podwórko całą masę. Stękał więc chłopak i jęczał pod nosem, kiedy na podwórze wpadła rozgniewana ciotka Tolikowa.

– Tuś mi, łobuzie! – Przyskoczyła do chłopca i trzepnęła go otwartą dłonią w ramię. – Nie mogłeś wytrzymać? Musiałeś się zemścić, co?!

Janek aż języka w gębie zapomniał. Gapił się na kobietę wielkimi niebieskimi oczętami i tym razem nawet nie musiał udawać zaskoczenia.

– Ale... – wydukał tylko, lecz nijak nie mógł się przebić przez wciąż narzekającą ciotkę.

Hałas wywabił z chaty Jankowego ojca.

– Co tu się dzieje? – Zawołał od progu, a szybko zorientowawszy się w sytuacji, przesadził wielkimi krokami podwórko i zawisł nad synem złowróźnie. – Cożeś znowu zrobił, ty łapserdaku jeden?

– Ja nic! Kiedy ja właśnie... Bo ja nic! – Janek kręcił głową, spoglądając to na ojca to na wściekłą kobietę.

– Ja ci dam nic! – darła się Tolikowa, a potem nagle głos jej się załamał i uderzyła w płacz. – Tyle pracy na marne! Przecież ja sobie sama chciałam ten stos zrobić, tylko ta twoja głupia pułapka...! I co teraz? Tyle roboty na marne! Czasu już nie mam, żeby od nowa robić! Strawę czas gotować, chatę oporządzać! Kiedy ja to wszystko zrobię?! Oj, bogowie moi słodcy...

Rozplakała się na dobre, tak że dłuższą chwilę zajęło ojcu Janka uspokojenie bratowej na tyle, żeby wydusić z niej wreszcie powód tej rozpacz.

– Przechodziłam przez rozstaje – wykrztusiła między jednym a drugim pociągnięciem nosa – a tam pusto! Ze stosu na ogień dla zagubionych dusz ani patyczek nie został! Jak mi dziady świadkami, wszystko zniknęło! Jakby kto gałęzie na powrót po całym lesie rozniósł! Ile to trzeba mieć złośliwości w sobie! No, powiedz ty mi, chłopaku, po coś mi to zrobił?

– Kiedy to nie ja! – zapiszczał Janek.

– Może zwierzęta przewróciły? – Ojciec nerwowo skubnął wąsa, ale ciotka aż się zachnęła na te słowa.

– Przecie mówię, że śladu po tym stosie nie ma! Zjadły go te zwierzęta, czy jak?! Człowiek to musiał zrobić! Dobrze się bawiłeś? – Zwróciła zapłakane oczy na Janka. – Myślisz, że to zabawne?

– To naprawdę nie ja! – Chłopak rąbnął się pięścią w pierś. – Jak matulę kocham, nie ruszałem tego stosu, odkądem go wczoraj ułożył!

Widział po ich spojrzeniach, że mu nie wierzą. Ilekroć coś spsocił, zawsze zarzekał się, że to nie jego sprawka, więc i tym razem puścili jego zaprzeczenia mimo uszu.

– Po miałbym to robić? – zapytał.

– No właśnie: po co? – Ciotka wzięła się pod boki. – A po co zastawiasz te pułapki po całej wsi i lesie? Żeby patrzeć, jak w nie dobrzy ludzie włożą! Ot co! Takie śmieszne to dla ciebie?

Ciskała piorunami po równi ze zdrowego, jak i chorego oka, pod którym uformował się po wczorajszym solidny siny półksiężyc.

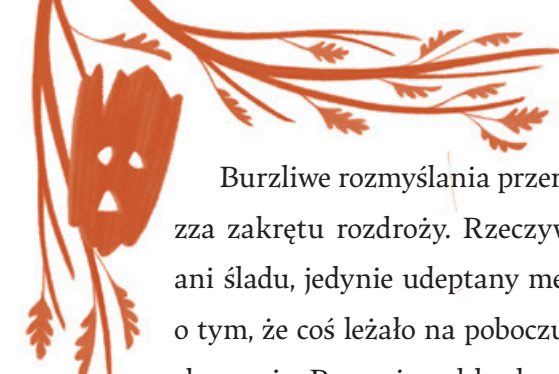
– Ale to nie to samo... – zaczął Janek.

– Dość! – przerwał mu ojciec. – Nie ma czasu gadać po próżnicy. Masz pół dnia, nim trzeba będzie podpalać obrzędowe ogniska. Goń do lasu! Nim zajdzie słońce, stos ma stać, i to taki, żeby się wszystkie zbłąkane duchy do niego aż kleiły ze szczęścia!

Janek zacisnął mocno pięści i usta, spochmurniał na twarzy, jakby miał zaraz albo wybuchnąć, albo się rozplakać. Nie odezwał się ani słowem. I tak by go nie posłuchali.

Poszedł dróżką do lasu, po drodze mijając obejścia pełne zabieganych ludzi, rozgdakanych kur i szczekających psów. Nad całą wsią unosił się ten specjalny nastrój przygotowań do świąt, ale Janek nie rozglądał się na boki. Ze wzrokiem wbitym w ziemię włókł za sobą płachtę na chrust, którą mu ojciec wcisnął do ręki na odchodnym, kopał napotkane kamienie i burczał pod nosem.

Jeszcze nigdy nie oskarżono go o coś, czego nie popełnił. Jak w ogóle mogli pomyśleć, że dopuściłby się takiej szkody?! Wiedział, jak ważną ochroną był ogień płonący na rozstaju dróg w czasie Dziadów. Przecież sam układał ten stos, o czym przypominały mu usłużnie bolące kończyny i mięśnie! Jasne, że za karę, i jasne, że kusiło go, żeby się na ciotce i ojcu za tę ciężką robotę odegrać, ale nie tak! Miałby zmarnować własną pracę? Szczególnie że dumny był ze swojego dzieła...



Burzliwe rozmyślenia przerwał mu widok wyłaniających się zza zakrętu rozdroży. Rzeczywiście, po stosie gałęzi nie było ani śladu, jedynie udeptany mech i zabłocone liście świadczyły o tym, że coś leżało na poboczu. Janek aż usta rozdziawił z zaskoczenia. Przyspieszył kroku, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, i dopiero w ostatniej chwili, gdy był już bardzo blisko, zauważył ciemny kształt pod dębem. W tym samym miejscu, gdzie wczoraj siedziała ciotka Tolikowa, teraz odpoczywał okutany w łańchmany nędzarz.

Niespodziewany widok i pokraczna postać wędrownego dzia-
da przestraszyły Janka tak, że tylko siłą woli powstrzymał się przed krzykiem.

– Nie bój się, chłopcze – odezwał się starzec i wyszczerzył w uśmiechu bezzębne usta. – Takem tylko usiadł na moment, bom niepewny, którą drogę wybrać, coby do ludzi jakichś trafić.

Janek zawahał się i zatrzymał o kilka kroków od obcego. W dzień Dziadów wędrowiec mógł się okazać zarówno bezdomnym przybłądą, jak i duchem, albo nawet samym posłańcem bogów. Żadna z tych możliwości nie wydawała się chłopcu przyjemną. Kimkolwiek jednak był starzec, świdrujące spojrzenie wyblakłych oczu, smród potarganego odzienia i dziwny grymas, mający zapewne być uśmiechem, wywoływały ciarki na skórze Janka.

– Do wsi? – powtórzył niezbyt mądrze, niepewny, czy powinien wskazywać drogę do swoich bliskich komuś takiemu.

Obcy najwyraźniej go przejrzał, bo zaśmiał się gardłowo i jął macać wokół siebie w poszukiwaniu złożonego na trawie kostura.

– Nie lękaj się, chłopaku, żaden ze mnie rozbójnik. Zdrowy jestem, cholery wam nijakiej też nie przyniosę. Nie masz tam czego do jedzenia? Pomodłę się za ciebie do bogów w zamian.

– Nie mam, wybaczcie – Janek potrząsnął głową i, ku własnemu zaskoczeniu, lekko się skłonił przed żebrakiem. – Bez niczego z chaty wyszedł. Ale jak tą drogą pójdziecie, rychło was we wsi ktoś z pewnością napoi i nakarmi.

Janek miał wrażenie, że ciało nie do końca go słucha, bo zamierzał skierować dziada hen na leśne ścieżki, a tymczasem jego ręka z wyciągniętym palcem wskazywała prościutko na drogę do ludzkich siedzib. Zaskoczenie musiało się odmalować na jego twarzy, bo wędrowny dziad zachichotał nieprzyjemnie i pomagając sobie kosturem, podniósł się z ziemi.

– A widzisz. – Pokiwał głową, jakby czytał w myślach Janka. – Czasem to i z łobuza dobro wyłazi. No, mam tu ja coś dla ciebie za tę dobroć, co chyba bardziej niż mnie to ciebie zaskoczyła, ha?

Pogmerał jeszcze brudną dłonią w otchłani swoich łachmanów, a potem wyciągnął ku Jankowi rękę z podarkiem. Oczom chłopaka ukazała się upiorna drewniana maska.

– W sam raz na dzisiejszą noc – uznał dziad. – No, weź, przyda ci się, zobaczysz. To nie jest zwykła karaboszka. No, weź! Myślałby kto, żeś taki nieśmiały.

Janek zbliżył się, nie odrywając wzroku od pustych oczodołów maski i jej wykrzywionych w grymasie, wypełnionych ostrymi zębami ust. Chciał się wykręcić, bo nijak mu się nie widziało

branie czegokolwiek od starucha, a tym bardziej prezentu tak niepokojącego, dlatego jęknął w duszy, gdy usłyszał swoje własne słowa:

– Dziękuję, niech was bogi prowadzą.

– I ciebie, Janku – odparł wędrowny dziad i ruszył wskazaną przez chłopca ścieżką.

Janek został na rozdrożach sam. Wpatrywał się w trzymaną w dłoniach maskę, czuł pod palcami jej wyszlizganą przez czas powierzchnię, a w uszach słyszał miarowe stukanie kostura uderzającego o trakt.

Po chwili poderwał głowę i zwrócił się tam, dokąd odszedł starzec, lecz nie było go już widać.

– Ale... – szepnął do siebie. – Skąd on znał moje imię?

Strach go obleciał. Rozejrzał się szybko wokół. Las był jak dawniej jasny, pełen rudych liści i zielonych kęp mchu. Na górnych gałęziach odzywały się ptaki, a pod stopami czuł miękkość, pachnącą wilgocą ziemię. Wszystko było na swoim miejscu. Tyle tylko, że trzymał w dłoniach drapieżnie szczerzącą się maskę o pustych oczach.

A im dłużej w nie patrzył, tym bardziej nieswojo się czuł.

– Też mi prezent – prychnął, próbując odzyskać zwykłą pewność siebie. – Staruch zrobił mi psikusa. Ze wszystkich ludzi w okolicy ja najlepiej powinienem umieć docenić taki kawał. Ale wcalem się nie przestraszył! Co to, to nie!

Zaśmiał się na siłę i choć wypadło to blado, poczuł się nieco lepiej.

Odłożył maskę między korzenie drzewa, przy którym wcześniej siedział starzec, a potem odwrócił się do niej tyłem i spojrział na puste miejsce po stosie drewna.

– No dobra. Za niewinność mnie ukarali, ale jak nie będzie ognia na rozstajach w noc Dziadów, to się dopiero narobi! Już ja znajdę tego dowcipnisia, co mnie tak urządził...

Mamrocząc pod nosem, użalając się nad sobą i złorzecząc nieznanemu niszczycielowi stosów drewna, przez następne kilka godzin pracował niemal bez odpoczynku. Plecy i uda paliły go żywym ogniem, a za każdym razem, gdy zarzucał na ramię płachtę pełną chrustu, miał wrażenie, że ten kawałek jego ciała na zawsze pozostanie siniakiem.

Słońce wędrowało po niebie, niewidoczne zza wysokich drzew, a gałęzie i chrust układały się w coraz wyższą i okazalszą stertę.

Janek przerwał pracę dopiero, gdy zauważył, że światło w lesie zszarzało, a powietrze stało się chłodne i wilgotne od mgły. Spocony i zmęczony, odruchowo powlókł się pod drzewo i klapnął ciężko na mech. Od razu przyznał, że korzenie dębu były ułożone wręcz wybornie, by można się było między nimi wygodnie rozsiąść. Coś jednak uwierało go w krzyże, więc sięgnął za siebie i wyciągnął zza pleców drewnianą maskę.

W zapadającej szarówce jej uśmiech wydał się chłopcu jeszcze bardziej nieprzyjemny niż poprzednio.

– Co ja mam z tobą zrobić? – mruknął niechętnie. – Może oddam cię żercy? Pokażę mu ją dziś na obrzędzie. Poznasz koleżanki.

Zachichotał rozbawiony własnym żartem. Podczas Dziadów ludzie używali masek z drewna, skóry lub kory i licznie przynosili je na ucztę na cmentarzysku. Część wierzyła, że dzięki nim odstraszą złe duchy, inni widzieli w nich symbol przybywających na wieczerzę przodków. Żerca miał własną, piękną, dużą i bardzo starą karaboszkę, którą przesłaniał twarz w czasie zapraszania dziadów do wspólnej biesiady. Maski nie były dla Janka niczym nowym, ale ta miała w sobie coś wyjątkowego i bardzo niepokojącego. Patrząc w jej oczodoły, miał wrażenie, że trzyma w rękach żywą istotę.

Obrócił karaboszkę w dłoniach.

– Głupota... – parsknął pod nosem. – Też mi strachy. Łooo, ale się boję!

Pokręcił głową, usiłując odgonić niepokój.

– Też jestem straszny, łaaa! – zaśmiał się i przyłożył maskę do twarzy.

HAU!

Ociekające śliną kły kłapnęły tuż przed twarzą Janka. Chłopak odruchowo wbił się plecami w pień drzewa. Ogromne psisko ujadło wściekle. Jego sierść lśniła błękitnym blaskiem.

Janek zerwał maskę z twarzy, a wtedy pies zniknął.

Chłopiec osunął się głębiej w objęcia korzeni dębu. Oddychał ciężko. Uniósł karaboszkę na wysokość twarzy i przyjrzał jej się złękniony. Ręce lekko mu drżały. Uśmiech maski, pełen spiczastych zębów, zdawał się bardziej kpiący i złośliwy niż wcześniej.

Zaszeleściły gałęzie. Stos ogniskowy zachwiał się, jakby coś uderzyło w niego z impetem. Janek krzyknął i zerwał się na nogi, wymachując rękami.

– Hej! – krzyknął, sam nie wiedział na co. – Przestań!

Naraz coś przyszło mu do głowy. Przyłożył maskę do twarzy. Przyłgnęła jak przyklejona, tak że nie musiał wcale jej trzymać. W dotyku była ciepła i miękka.

Czarne psisko napierało cielskiem na stertę gałęzi, którą chłopak z takim mozołem układał przez pół dnia.

– A kysz! Co ty robisz? Głupie psisko!

Lśniące niebieskim blaskiem zwierzę podniosło łeb. Janek cofnął się odruchowo. Tymczasem pies machnął niepewnie ogonem, wywalił język i szczeknął wesoło.

– Co do... – zaczął Janek i nagle jakby dostał olśnienia.

Przyjrzał się psu uważniej. Znał te ślepie, znał ten pełen radości szczek, w którym dźwięczały nuty na skraju płaczu.

– Przy... Przylepa?

Usłyszawszy swoje imię, upiorny pies żwawo zamierdał ogonem i z radości niemal szorując brzuchem po ziemi, podbiegł ku Jankowi. Chłopak wyciągnął rękę, by zmierzyć długą czarną sierść, lecz jego dłoń przeszła przez zjawę. Jedyne, co poczuł, to mrozący palce chłód.

Upiorny Przylepa z głośnym ujadaniem pobiegła w stronę lasu. Janek zawołał za nim. Był pod takim wrażeniem tego dziwnego spotkania, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Pies wrócił ku niemu, po czym na powrót odbiegł w las, szczekając zapamiętale.

– Mam iść z tobą, rozumiem! Ale... – Janek niepewnie zerknął w kierunku wsi.

Chętnie pobiegłby po ojca, tylko czy Przylepa będzie czekać? I czy ojciec w ogóle mu uwierzy? Co Janek miałby mu powiedzieć? Że spotkał ducha wujowego psa? Wyjdzie na to, że syn znowu chce go na coś nabrać.

Nie wahając się dłużej, pobiegł za upiorem.

Las widziany przez oczy maski był jasny, jakby wciąż trwał w nim dzień. Niestety, oprócz Przylepy Janek dostrzegał również inne duchy. Niektóre obracały za przebiegającym chłopcem pustookie twarze, inne wyciągały ku niemu pazury. Część milczała, część jęczała, krzyczała, nawoływała go, tak że Jankowi aż cierpła skóra. Upiory przypominały zwierzęta, dwunogie, rogate, to znów niewielkie i kosmate, ale wśród duchów byli także ludzie. Ich twarze zmieniły się w wykrzywione grymasem maski. Niektórzy błakali się wśród drzew od tak dawna, że ledwie zachowali kształt – ich sylwetki były nieostre na krawędziach i prawie niewidoczne. Pozbawieni byli głosu.

Janek nie patrzył, dokąd biegnie, w której części lasu się znajduje i jak daleko jest już od domu. Starał się tylko nie stracić z oczu Przylepy i nie rozglądać.

W ostatniej chwili wyhamował przed przepaścią. Pies radośnie w nią wskoczył, a Janek ustał z trudem na skraju skalnej ściany opadającej pionowo w dół, ku korytu rzeki.

– O, słodki Welesie! – wrzasnął Janek, kręcąc młynki ramionami dla utrzymania równowagi. – Przylepa! Wracaj!



– Hop! Hop! – rozległo się naraz z przepaści. – Kto tam jest?!

Janek zbaraniał. Głos zdecydowanie nie należał do Przylepy. Poznawał go jednak doskonale. Padł na kolana i wychylił twarz za krawędź skały.

– Wuju?!

W połowie pionowej ściany, na niewielkiej skalnej półce stał brodaty, brudny i wychudzony mężczyzna. Na widok Janka znajoma twarz wuja Tolika wykrzywiła się w grymasie przerażenia, i chłopak, oprzytomniawszy, odsunął od siebie upiorną maskę.

– To ja, Janek! – wrzasnął w mrok.

Bez karaboszki las nie jaśniał już tak jak w dzień, a oczy chłopaka musiały przyzwyczaić się do mroku, który zdążył zapać w międzyczasie.

– Janek!? Jak dobrze! – ucieszył się wuj. – Nie mogę się wspiąć! Spadając, uszkodziłem ramię! Mam linę, ale nie udało mi się jej o nic zahaczyć!

– Pobiegnę po pomoc!

– Nie! Tu jakieś złe łązi, dziś Dziady! Potrzebuję tylko niewielkiej pomocy i sam się wydostanę. Pomóż mi!

Janek pokiwał zapalczywie głową.

– Dobrze, wuju!

– Odsuń się od krawędzi, rzucę linę! Zahacz ją o drzewo!

Janek wykonywał polecenia. Gdy lina z przymocowanym na końcu odłamkiem skały wylądowała na trawie, szybko owinął ją wokół pnia najbliższego drzewa i mocno chwycił koniec.

Zapał się i poczuł, jak przywiązany na drugim końcu wuj napiera na nią ciężarem.

Lina wytrzymała. Janek ciągnął ile sił i nie puszczał, ale wuj, z tylko jedną zdrową ręką, nie był w stanie podciągnąć się ku krawędzi. Janek zaś był za słaby, by go samodzielnie wydobyć. Próbowali jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu się zmęczyli, a chłód i ciemność wokół zgęstniały.

– Mam pomysł! – zawołał wreszcie Janek. – Dajcie mi chwilę!

Wyłumaczył naprędce, co zamierza zrobić, i wuj uznał, że warto spróbować.

Janek założył maskę, żeby rozproszyć mrok. Przyłgnęła mu do twarzy jak druga skóra.

Upiorna twarz czegoś zębatego i rogatego wyrosła o kilka kroków przed nim. Wzdrygnął się, ale nie krzyknął. Lęk ukradł mu na moment głos. Może i dobrze zresztą, bo gdy spojrzał na nią drugi raz, dostrzegł, że maskara wygląda na równie niepewną jak on. Kołysała się tylko w miejscu, przebierała nerwowo łapami i gapiła się na chłopaka.

Janek rzucił szybkie spojrzenie na okolicę i dostrzegł, że między drzewami snuje się więcej stworów. Nie miał pewności, czy mogą mu coś zrobić, ale wołał, by się nie zbliżały.

Odetchnął głęboko, by dodać sobie otuchy. Wypatrzył młodą brzozę i ucieszył się, bo i szerokością pnia, i elastycznością nadawała mu się idealnie do planu. Modląc się w duchu, żeby lina dosięgła drzewka, podszedł i odetchnął z ulgą.

Z ogromnym wysiłkiem nagiął drzewko tak, że czubkiem niemal dotknęło ziemi. Pilnując, żeby mu brzoźka spod pachy nie uciekła, sięgnął po linę i obwiązał nią pień w pewnym oddaleniu od najwyższych, delikatnych gałęzi.

– Gotowiście?! – krzyknął do wuja.

– Tak!

Janek poczuł, jak lina się napręża. Popuścił lekko drzewko, które usiłowało wyskoczyć mu spod ramienia niczym sprężyna. Powstrzymywana, obciążona przez Tolika na drugim końcu liny brzoźka jęknęła ostrzegawczo.

Janek uwalniał ją powoli z przygięcia, bojąc się, by nie pękła w najgorszym momencie.

Ciągnięty ku górze Tolik sapał i stękał, zapierał się stopami i podciągał ku górze, aż w końcu jego ręka wyłoniła się zza krawędzi przepaści i chciwie złapała bezpieczny grunt.

Uradowany Janek omal nie puścił brzożki z wrażenia.

Tolik wygramolił się na skałę i lina nie była już potrzebna.

Janek podbiegł, zsunął maskę i pomógł wujowi wstać. Mężczyzna chwilę dochodził do siebie. Jedno ramię zwisało mu bezwładnie wzdłuż ciała.

– Macie siły, żeby iść? – zatroskał się Janek.

– Tak – odparł wuj zdecydowanie. – A gdzie Przylepa? Wydawało mi się, że go słyszałem.

Janek zasmucił się.

– Jego duch mnie do was przyprowadził – wyznał. – Chodźmy już.

Założył maskę, i pociągnął wuja za obszarpany rękaw.

Tolik dał się prowadzić, choć szedł wolno i potykał się co rusz w ciemnościach. Janek widział stwory gapiące się na nich pomiędzy drzew i starał się zachować ciszę, ale jego towarzysz najwyraźniej nie czuł tej samej grozy, co on. Posmutniał zamiast tego, widocznie przeżywając stratę czworonożnego przyjaciela.

– Duch, mówisz... Posłałem Przylepę po pomoc. Kazałem mu wracać do chaty. Miałem nadzieję, że kogoś przyprowadzi, ale jeśli spotkało go coś złego, to pewnie jego duch utknął w lesie i nie mógł dotrzeć do ludzi... A to ciekawe, że ciebie mi przywiódł – parsknął. – Jam się na jednej z tych twoich pułapek wyłożył i spadłem ze skały! Ty nicponiu jeden... Małom twoich żartów życiem nie przypłacił!

– Co? – Janek potrząsnął głową. – Niemożliwe, to na pewno nie moja pułapka! Ja...

Chciał dodać, jak zawsze, że jest niewinny, ale zamilkł, bo mu się jakoś wstyd zrobiło.

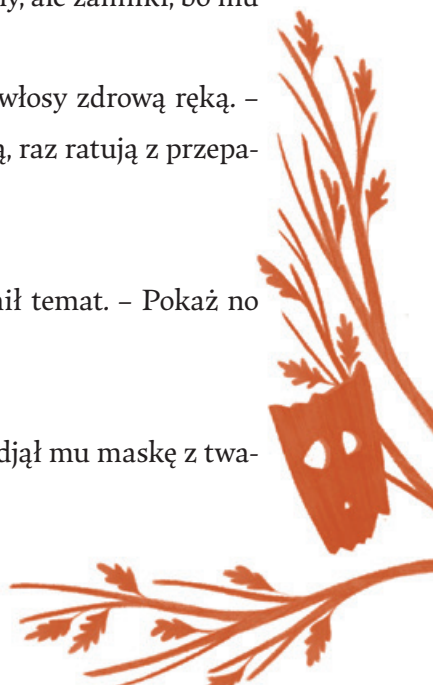
– No, już dobrze. – Wuj zmierzwił mu włosy zdrową ręką. – Te twoje pomysły raz ludziom szkodę robią, raz ratują z przepaści. Nawet z łobuza czasem dobro wyłazi.

Janek drgnął na te słowa.

– A co ty za maskę masz? – Wuj zmienił temat. – Pokaż no mi to. To na Dziady?

– Nie, to żeby widzieć...

Nie dokończył, bo Tolik wielką dłonią zdjął mu maskę z twarzy i założył sobie.



Wrzasnął natychmiast i aż podskoczył. Jego krzyk odbił się echem po lesie. Janek poczuł chłód w sercu.

– O bogowie! – darł się wuj. – Leżą na nas!

Złapał Janka za rękę i pociągnął za sobą biegiem. Chłopiec ledwie nóg nie połamiał w ciemnościach.

– Nic nam nie zrobia! – rzucił uspokajająco. – Tylko się gapią...

W tej chwili coś drasnęło go w ramię, a przy uchu usłyszał syk.

Nie rozumiejąc, co się dzieje i dlaczego duchy zaatakowały, przyspieszył kroku. Miał zamiar najpierw wiać, a potem się zastanawiać.

Wuj ciągnął go za rękę tak mocno, że stopy Janka ledwie nadążały dotykać ziemi. Nie podobało mu się, że niczego nie widzi i że wuj zabrał mu karaboszkę.

– Czekaj! – krzyknął wuj i zahamował, aż Janek z rozpędu wylądował na jego plecach. – Zatrzymały się.

– Dajcie mi maskę, wuju – poprosił chłopak. – Kiedy ja ją nosiłem, duchy były spokojne.

Wydawało się, że wuj go nie słyszy, jednak po chwili zdjął karaboszkę i podał chłopcu.

Janek założył ją szybko.

Las rozbłysnął światłem. Wokół rozpościerało się morze maszkar. Nie ruszały się, jedynie falowały niczym cienie nad ogniskiem. Spoglądały na coś za plecami chłopca.

Janek się odwrócił.

– Ognisko – wyszeptał. – To mój stos na rozstajach! Zapalili go. Żerca wzywa zbłądzone duchy!

Upiory ruszyły z wolna w kierunku płomienia. Janek pociągnął wuja w tym samym kierunku. Po chwili słyszeli już śpiewną modlitwę kapłana. Po lesie niesły się słowa zapraszające duchy na wspólny posiłek.

Maszkary przybywały licznie. Stawały w blasku ognia i wyciągały pyski, szpony, łapy, byle ogrzać się nieco w cieple poświęconego im stosu.

Janek i jego wuj przeszli między nimi i przedostali się do grupy ludzi. Chłopak zdjął maskę i zatknął ją za pazuchę.

Dostrzeżono ich i zaraz podniósł się rwetes, bo nie dość, że odnalazł się zaginiony Tolik, to jeszcze i wrócił Janek, którego rodzice szukali od wieczora i bali się, że go w noc upiory jakieś uprowadziły.

Żerca wrzucił w ognisko trochę jadła dla duchów, resztę zaś podzielił między siebie i przybyłych na rozdroża ludzi. Wypito nieco miodu, zjedzono kaszę i miód. Ojciec Janka zabrał odnalezionego brata do wsi, by poskładano mu rękę i zadbano o wyćięczone ciało.

Janek został, trzymał się na uboczu i od czasu do czasu przykładł do twarzy maskę, by popatrzeć na prawdziwych gości, dla których palił się ogień. Na duchy tych, co weszli do lasu i nigdy z niego nie wyszli. Nieodnalezieni. Niepochowani. Nieopłakani jak należało.

Teraz stali w upiornej postaci przy uświęconym ogniu. Niektórzy jedynie patrzyli, inni wchodzili w płomienie i znikali. Widać kończyła się ich tułaczka po lesie.



Naraz podbiegł do Janka Przylepa
i zamerdał widmowym ogonem.

– Dobry, kochany pies – po-
chwalił go czule. – Sprowadziłeś
pomoc. No, tak!

Pies zdawał się uśmiechać
całym pyskiem i ślepiami.

– Idź – odezwał się na-
głe głos za plecami Janka.

Chłopiec podniósł wzrok
i zobaczył wędrownego dzia-
da. Jego postać, widziana przez
maskę, miała ten sam, co
u duchów, niebieski poblask.
Poza tym nadal wyglądał
jak starzec w obszarpanym
odzieniu, z grubym kostu-
rem w dłoni.

– Idź – powtórzył i Janek
zorientował się, że słowa te
przeznaczone były dla Przyle-
py. – Jesteś wolny.

Pies zamerdał ogonem,
szczeknął wesoło i pobiegł
wprost w płomienie obrzędo-
wego ogniska. A potem zniknął.

Janek otworzył usta ze zdumienia.

– Jeszcze cię coś dziwi? – zakpił starzec. – Ech. Dobrze, podaj mi moją maskę. Już ci się nie przyda.

Wyciągnął dłoń o powyginanych chorobą palcach. Janek posłusznie zdjął maskę i oddał starcowi, lekko się kłaniając.

– Dziękuję – powiedział, bo z jakiegoś powodu czuł, że spotkały go nie lada zaszczyt i łaska.

– Niepotrzebnie pozwoliłeś wujowi spojrzeć na duchy. Rozzłościłeś je. Mój prezent był dla ciebie, dla nikogo innego.

Janek otworzył usta, żeby powiedzieć, że to nie jego wina, ale po chwili jedynie uśmiechnął się słabo i skinął głową.

– Janek! – zawołała go matka. – Idziemy!

Zerknął ku niej. Ludzie odchodzili za żercą drogą w kierunku wsi.

– Idę! – zawołał, po czym odwrócił się, by pożegnać tajemniczego starca.

Lecz prócz Janka nikogo już na rozstajach nie było.